Rozmaitości

Dnia 1. Października **Nr 40.** 1836 Roku.

RYS Z ŻYCIA KORSYKAŃSKIEGO.

...Domine...
Odisti omnes qui operantur iniquitates: perdes omnes qui loquuntur mendacium...
Virum sanguinosum et dolosum abominabitur Dominus.
...Judica illos, Deus... Psal. 5.

I.

Jest kraj, którego obyczaje mało nam są znane, którego mieszkańców mamy za lud pół-dziki. Nie wiemy nazwisk ani gór jego, ani prowincyj, ani żadnego miasteczka. Liczba jego mieszkańców dla wielu nas jest cyfrą zagadkową. Prawie pytamy samych siebie, czy tam sieją zboże, czy chléb jedzą, czy nie chodzą nago, czy żyją pod namiotami lub gołém niebem; nakoniec czy wierzą tam w Boga?! A jednakże kraj ten jest odwieczną kolebką mężnego i wielkodusznego narodu; ojczyzną nie jednego sławnego bohatéra; kraj ten podlega Francyi, leży prawie u bram Paryża i nazywa się — Korsyką.

A teraz chciejcie posłuchać gawędy mojéj z tego kraju:

Mastro Giacomo Santo Todi, patron (właściciel) okręciku z Rostino, miał dwóch chłopców i jednę dziéwczynę. Lucyja, albo raczéj *specchio della pieve* (źwierciadło wioski), jak ją na dziesięć mil w koło nazywano, była bożyszczem mastra Giacomo Santo i dumą Pietrina i Mattea, swoich dwóch silnych braci, najzawołańszych strzelców na całym ostrowie.

»Signora Maryjo Fiora, Lucyja jest święta dziéwczyna,« rzekł patron do swojéj małżonki.

»Błogosławioną niech będzie zato *Madonna dei sette dolori*, mój sinioro Santo,« odrzekła rozrzewniona Maria Fiora.

Lucyja była świeżą i nadobną. Czoło miała szérokie i bez skazy, profil grecki, oczy afrykańskie. Biały *mesarou**) dziewiczą jéj głowę z dziwnym urokiem osłaniał, a jéj miękkie, czarne, bujne kędziory, podniesione białością chustki nie zazdrościły piórom kruka. Lucia była przystojną, młodą dziéwczyną, tyle dobrą, ile urodziwą, tyle słodką, ile dumną, tyle pracowitą, ile dumającą, *savante*, bo umiała czytać, a jednakże skromną. Powtarzała na pamięć wszystkie ody Fulviusza Testi, a kiedy swoim głębokim, dźwięcznym głosem, na powolną, tkliwo-smętną nutę śpiewała te wyrazy:

»Nato era Maggio e lieti,
Ridean nel prato i fior,
L'aque nel fiume...«

(Miesiąc maj urodził się, kwiaty wesoło rozśmiały się na łące, a wody w strumieniach...)

Natenczas każdy mimowolnie zatrzymał się, aby ją słyszéć, i oddech w sobie tamował. Młodzież miała o czém marzyć przez cały tydzień, a rówiennice jéj we łzach tonęły z zawiści.

Patron Santo wyruszył pod żagle, i już od ośmiu dni on i jego dwaj synowie przechadzali się gdzieś na wybrzeżu w Liworno.

Byłato szósta godzina wieczór, pogodne i ciepłe słońce października tonęło powoli w morzu, pozłacając szczyty drzew na wzgórzach, dach czerwony i białe mury *capanucci* (chaty) patrona Santo, piękną twarzyczkę Lucyi, siedzącéj pod drzwiami, a w większéj oddali żagle okrętu, który zaledwie migał się na widnokręgu.

Młody, jasnowłosy mężczyzna, z żywémi i ujmującémi rysami, uzbrojony dubeltówką i z ogromną malarską mappą pod pachą, zjawił się nagle pomiędzy słońcem a Lucyją, a długi cień, padający od jego postacyi, powstał jak ciemny obłok, i zamroczył piękne oblicze

*) Kawałek muszlinu, którym Korsykanki obwijają głowy.

dziewczyny, przed chwilą jeszcze tak promieniste. Ubior młodego mężczyzny wydawał zupełnie cudzoziemca; był on bowiem w połowie myśliwski, a w połowie z pańska, i zapewneby Pietrino i Matteo pękali od śmiéchu, gdyby z swoim ojcem patronem Santo nie byli w Liwornie. Bogato haftowana z czerwonego axamitu czapeczka siedziała niedbale na głowie cudzoziemca, kusy jego fraczek z cienkiego zielonego sukna do koła ozdobnie był wyszywany. Spodnie z białéj skóry rysowały kształt jego; kamasze ze skóry z tysiącem drobnych srebrnych guzików, z matematyczną prawie dokładnością okrywały wyższą część trzewików tego eleganckiego myśliwca. Strzelba, pod którą ramie młodzieńca prawie uginać się zdawało, była tylko ładną zabawką wykładaną srébrem, a połyskującą jak lustro. Prześliczna ta broń wisiała na rzemieniu z czerwonego safijanu, złotem haftowanym, i krzyżowała się na piersi myśliwca ze sznurem, kręconym z niebieskiego jedwabiu i złota, na którym bogato oprawny nóż łowiecki wisiał.

Porównajmyż teraz z tym wypieszczonym blondynem, dzikiego chłopa brunatnéj cery, z czarnémi jaskrawémi oczyma, z długim, skołtunionym włosem w szpiczastym kołpaku, w kurtce i spodniach brunatnéj barwy, jakby w skórze niedzwiedziéj; zbrojnego za szérokim pasem dwoma ogromnémi pistoletami, szablą i sztyletem, a w ręku niosącego krótki, a gruby sztuciec; i osądźmy, czyli ładnego przybysza można wziąć za współziomka Herkulesa, to jest za myśliwca z Venzolasca? Lucyja też nie omyliła się w zdaniu, natychmiast poznała w nim Francuza, chociaż żadnego nie widziała w życiu. Korsykańska dziewczyna nie lada czém się przestraszy; Lucyja też ręką przysłoniwszy oczy, spoglądała na cudzoziemca, który nieporuszony nie spuszczał z niéj wzroku.

»Możebyś chciał u nas signor wypocząć? Chata starego Todi otwartą jest dla każdego przychodnia.« I nie czekając odpowiedzi przywołała matkę. »Mamo! jest tu pan jakiś wpraszający się w gościnę.«

I Maryja Fiora, jako gospodyni, pięknym przywitawszy dygiem, zaprosiła cudzoziemca do wniścia. Lecz ten nie dając żadnéj odpowiedzi, wlepił oczy swoje w anielskie oblicze Lucyi, i uczynił to, coby każdy z was młodych w dwudziestym roku czytelników był uczynił — oto wszedł do gościnnego domu.

»A kędyż wasz pies?« zagadnęła Lucyja, nie postrzegając tego nieodzownego towarzysza myśliwca. »Jako? czy psa nie macie ze sobą?«

»Nie mam; jestem malarzem i podróżuję po tym ostrowie, dla malowania pięknych widoków. Tę oto broń noszę ku własnéj obronie, bo jak mi się widzi, w tym pięknym kraju nie mało pewnie jest rozbójników.«

»Rozbójników?« przerwała Lucyja, cisnąwszy przeraźliwe na cudzoziemca spojrzenie. »Rozbójnicy w Korsyce? I ty, mój panie odważasz się to mówić w domu Korsykanina? w obecności jego żony i córki?« Oblicze Lucyi przybrało taki wyraz szlachetnéj i mężkiéj dumy, jéj usta taką objawiały pogardę, a jéj oczy takim zapalały się gniewem, że Francuz pobladł i wstecz się cofnął. »Signore,« ozwie się potém ze spokojną powagą, »jesteście tu pod opieką gościnności, która u nas, jak zowiesz rozbójników, jest święcie szanowaną; nie obawiajcie się niczego; z tém wszystkiém pamiętać wam, że bez téj rękojmi córka Giacomo Santo Todi kazałaby wam żałować téj zuchwałéj i nierozmyślnéj mowy; a ojciec mój i bracia moi obelgę tę we krwie by waszéj zmyli.«

»Jako, panienko,« odrzekł młody mężczyzna, »owa korsykańska gościnność, którąście wysławiali pod nieba, nie ochroniłaby mię nawet przed sztyletem waszego ojca i przed kulmi panów braci?«

»Jeżeliby cię signore jak gościa pod strzechę przyjęli, natenczas krwią własną broniliby cię w potrzebie. Lecz przestąpiwszy krokiem próg ich domu, musiałbyś miéć się na ostrożności, i nigdy nie zachodzić im w drogę. Lecz dosyć o tém! Nie obawiajcie się niczego, powtarzam wam i zapewniam. Ojciec mój i bracia odpłynęli z wyspy, a w Korsyce nie ma ani szpiegów, ani rozbójników.«

We dwa tygodnie potém, podczas pięknego dnia w Listopadzie, cudzoziemiec opuścił *capanuccie* starego Santo, nie pożegnawszy onéj mieszkańców.

II.

Lucyja chudła widocznie, a rumieniec przygasał na licu; nie dla niéj śpiewy, igraszki, pląsy niedzielne. *Specchio della pieve* mgłą się powlokło. Lucyja w płaczu przepędzała

nocy. We dnie zajmowała się pracą, i odpowiadała swéj matce, niespokojnéj na widok jéj smutku i zapłakanych oczu: »Mamo, mnie nic nie jest.«

Patron Santo i jego dwaj synowie powrócili z Liworno. Petrino, starszy z synów, nieustannie rozpowiadał o jakimeś młodym, francuzkim malarzu, kawalerze de Polleville, który mu ocalił życie, kiedy genueńscy właściciele okrętów zasadzkę na niego zrobili przez zawiść. Patron Santo ścisnął dłoń Francuzowi, i rzekł do niego temi prawdziwie korsykańskiemi słowy: »*Signor Francese*, życie moje, moich dzieci, mój okręt, moja chata w Rustino, wszystko do was należy. Za rok, za dwadzieścia, za sto lat, jeżeli jaki Polleville będzie przyjaciela potrzebował, a jeden z Todich zostanie na świecie, zawołaj tylko, a Todi przybieży, choćby miał się oderwać od łoża umierającego ojca, choćby wtedy ostatnią kroplą wody odwilżał usta swojéj konającéj matce. *Signor Francese*, do śmierci, do dziesiątego pokolenia. *Addio e bon viagghiou!*«

Pewnego dnia rzekła matka do Lucyi: »Czyli nie masz żadnéj powierzyć mi tajemnicy?« Nie tylko głos, ale i cała postać Maryi Fiory objawiała niezwykłe jakieś uczucie. Lucyja drżała, bladła i prawie odchodziła od zmysłów. »Lucyjo! czy nié masz żadnéj powierzyć mi tajemnicy?« powtórzyła matka. Lucyja twarz zakryła rękami i szlochała głośno. »Lucyjo! czy nié masz żadnéj tajemnicy?«

»Nie, moja matko,« rzekła nakoniec Lucyja, zwracając na matkę osłupiałe spojrzenie, pełne nieczułéj obojętności.

»Bądźże przeklętą!«

»Amen!.....« Obiedwie kobiéty zrozumiały się wzajemnie.

III.

Było to w miesiącu lutym; czas był zimny i dżdżysty. Mastro Giacomo Santo Todi stał pośrodku nizkiéj izby w swojej *capanuccii*, odwrócony plecyma do kominka, na którym ogień się palił. Izba napełniona dymem, który pomału wychodził otworem w dachu. Pietrino i Matteo stali tuż obok niego, a Maryja Fiora, trzymając w ręku żółty fartuszek stała przed nimi.*) Lucyja zasłaniała sobie oczy dłonią. Opisać wyraz, malujący się w twarzach tego rodzinnego grona, byłoby rzeczą niepodobną.

»Kobiéto!« rzekł nakoniec patron Santo do Lucyi; »splamiłaś moje imię, jesteś zhanbioną. Uwodziciela nie chciałaś wymienić, wszelka zemsta jest niepodobną. Znasz los, jaki ciebie czeka. Tylko jeden ci wybór pozostaje...«

»Już wybrałam!«

»Fartuszek?...«

»Śmierć!...«

»Dobrze więc, Lucyjo Todi, twój wybór nadaje ci prawo, że raz jeszcze mianuję cię tém nazwiskiem. Lucyjo Todi, niechaj ci niebo przebaczy!«

»I ty, patronie Santo?« zapłakała temi słowy Lucyja na klęczkach.

»Córko moja, przebaczam ci!... *Requiescat in pace.*«

Maryja Fiora utłumiła łzę, i dodała drżącym głosem: »*Amen!*«

»*Amen!*« powtórzyli Pietrino i Matteo głęboko wzruszeni.

»*Amen!*« dodała Lucyja mocnym głosem i powstała.

Matka wrzuciła żółty fartuszek w ogień; Lucyja wzięła powróz i siekiérę i wyszła. Pietrino i Matteo pobrali strzelby i rydle, i wyszli za siostrą, zamknąwszy za sobą drzwi zewnętrzne od chaty. Patron Santo i Maryja Fiora zostali się sami pogrążeni w największéj boleści; potém, jakby sympatyczném uczuciem przeniknieni padli na kolana i modlili się gorąco.

O dwieście kroków w lesie Lucyja wykopała dół. Pietrino i Matteo zarzucili postronek na najmocniejszą gałąź dębu. Skoro dół wykopanym został, ozwała się Lucyja do swoich braci: »Myśliwcy, zróbcie mi jedną łaskę. Lucyja Todi nie lęka sie śmierci, lecz chce umiérać godnie, jak Korsykanka... Wszak macie strzelby ze sobą...« Pietrino i Matteo spojrzeli po sobie. »Myśliwcy, nie odmawiajcie mi téj ostatniéj łaski; powróz się godzi tylko genueńskiemu złodziejowi. Mówcie, czy przystajecie na to?« Skinieniem głowy dali jéj do zrozumienia, że przystają.

»Dzięki wam, myśliwcy!«

»Jezu! przyjmiéj jéj biédną duszę do siebie!« rzekł Matteo.

»Lucio Todi, pokój tobie!« rzekł Pietrino.

W jednéj chwili padły oba wystrzały.

Sprawiedliwość ludzka spełnioną została.

*) Przed rewolucyją korsykańskie dziewczęta, które miały nieszczęście paść ofiarą zwodziciela, były zmuszane nosić żółty fartuszek na znak hańby.

IV.

Dom Todi od dwóch lat zostawał pogrążony w żałobie, bo skoro rana honoru zagoiła się, zakrwawiło się serce; śmierć Lucyi zostawila pustki w ożywionéj niegdyś *capanuccii*.

Pietrino służył żołniérsko we Francyi, Mateo sam jeden pozostał przy rodzicach. Od tego czasu Maryja Fiora nigdy w obecności swego małżonka nie śmiala wymawiać imienia Lucyi. Ten gwałt dla macierzyńskiéj duszy zabrał ją ze świata. Mastro Giacomo Santo mógł tylko pod pozorem opłakiwania swojéj żony, poświęcać łzy gorzkie pamięci nieszczęśliwéj córki. To przynosiło ulgę jego sercu. Mateo został patronem okręciku starego Todi, starzec postradał nie tylko siły, ale i ochotę do pracy.

Byłoto w pięknym dniu października, słońce miało się już ku zachodowi, kiedy jakiś mlody mężczyzna w sukniach podróżnych stanął przed starcem, który przed chatą, grzejąc się promieńmi jesiennego słońca, siedział.

»Wejdźcie signore, witajcie mi!«

»Czyście mię nie poznali, signor Todi?«

»*Signor'-no;* wzrok mój stał się słaby, poznać was nie mogę.«

»Nie przypominaciesz sobie malarza Polleville w Liworno?«

Jesu santo! Polleville! wyżto jesteście signore *Francese!* Niech będzie błogosławioną *Madonna dei sette dolori!* jakto nieboszczka moja żona Maryja Fiora miała zwyczaj mawiać.«

»Sprawiedliwie, mój kochany mastro Todi, macie się czego cieszyć z mojego przybycia; przynoszę wam dobre nowiny od waszego synaPietrino.«

»Tożeście widzieli Pietrina?«

»Widziałem go, i ucieszyłem się jego widokiem. Dziarski ten chłopak z lichwą mi się odpłacił. Podobnie jaką przed trzema laty wyświadczyłem mu usługę w Liworno, taką samą on wyświadczył mi przeszléj zimy w Paryżu. Teraz gdy wszystko już przeszło, mój ojcze Todi, i gdy wasz syn w najlepszém jest powodzeniu, mogę wam wszystko jak było opowiedzieć. Nie prawdaż, że oprócz jednego listu, nie mieliście już żadnego od waszego syna?«

»Prawda, *signor Francese*, od owego przeklętego miesiąca lutego, nié miałem ani słówka!...« odrzekł z westchnieniem starzec.

»O przeklęty to miesiąc; bo dziarski Pietrino byłby w nim wielkiego nieszczęścia doczekał, a to jeszcze z mojéj winy. Ale gdybyto nieszczęście było się spełniło, natenczas byłbym życie sobie odebrał. Lecz dzięki Bogu! wszystko poszło szczęśliwie. Posłuchajcież signor Todi, jakto było.«

I Polleville opowiadał szczegółowo, jak pewnego razu na ulicy Paryża spotkał się z Pietrinem i poznał go; jak ten się ucieszył widokiem swego wybawcy, i jak od téj chwili często spotykali się ze sobą: Pewnego razu Polleville przez lekkomyślność swoją wdał się był w jakąś awanturę. Godzono na jego życie; ale Pietrino zakrył Pollevilla własnémi piersiami, i dwóch morderców trupem położył. Za ten czyn szlachetny, Pietrino miał być przed sąd wojskowy stawiony, i tylko wpływowi, jaki miał Polleville, udało się mu ocalić swego wybawcę. Teraz zaś wszystko najlepszą idzie koleją, Pietrino nawet posunięty został na wyższy stopień. Malarz zaś umyślnie przedsięwziął podróż do Korsyki, aby staremu ojcu opowiedzieć te wypadki, nimby wieść fałszywa uprzedziła go o nich.

»Todi ponowił swoje zaproszenie i Francuz wszedł do chaty: »Pietrino opowiadał mi smutne zdarzenia,« rzekł on. »Nieszczęśliwi, straciliście żonę i córkę!«

»Boży w tém dopust! signor Francese. *Requiescant in pace.*«

Francuz przez dwa tygodnie bawił w *capanucci*, otoczony natkliwszémi zabiegi starca i patrona Mateo. Zabawiał się polowaniem i rybołowstwem, poczém powrócił do Paryża... Jakże obadwa Korsykanie zalewali się łzami w chwili rozstania.

V.

W rok potém Pietrino postąpił na sierzanta i na urlopie przebywał u ojca. Słaby promień wesołości nawiedził tę chatę, jak w owym dniu kiedy wdzięczne ich serca przyjmowały malarza w gościnę. Pietrino opowiadał ojcu dzieje garnizonowe, wojskowe anegdoty i czyny wojenne.

Pewnego dnia sierzant nasz znalazł w staréj jakieś skrzynce kilka książek, które dawniéj do Lucyi należały. Piérwszą myślą jego było, z oburzeniem i smutkiem odepchnąć je od siebie. Lecz ucywilizowawszy się w Francyi, i nauczywszy się czytać, znowu je wziął do ręki. Byłyto ody Fulviusza Testi. Na wewnętrznéj stronie okładki znalazł napisane jakieś przysięgi miłości.

»Lucyjo, twój na całe życie. *C. de P.*«

»*Giuro d'amarti sempre.*«

»Jesteś moją kochaną małżonką, przysięgi moje potwierdzę przed ołtarzem. *C. de P.*«

»*Non ti pentirai d'esserti data a me*, *bella Lucia.*«

Daléj znowu *C* z *L* połączone w cyfry, i dwa serca, strzałą przeszyte. Poznał czyjato ręka.

Ponury ryk wydobył się z głębi jego piersi. Sam tylko znajdował się w domu i książki schował do tornistra.

W sześć miesięcy poźniéj Pietrino wrócił do pułku. Wyszukał Pollevilla i pokazał mu ody Fulviusza Testi..... Pojedynkowali się bez

świadków; Poleville zginął... Sąd wojenny skazał Pietrina na śmierć.

Mastro Giacomo Todi, który wkrótce umarł, przeklął pamięć Pietrina za to, że mimo święcie danego słowa zabił Pollevilla.

Mateo, który jeszcze lat kilka samotny żeglował po morzu, na brzegach Sardynii wśród burzy utonął ze swoją łodzią.

A tak sprawiedliwość boża dokonaną została.

PODRÓŻ NA STATKU PAROWYM AUSTRYJACKIM PO DUNAJU I MORZU CZARNÉM Z WIEDNIA DO KONSTANTYNOPOLA.

Przez C. W. H.

(Ciąg dalszy.)

Statek *Argo*, który już trzeci rok żegluje po niższym Dunaju ma 120 ang. stóp długości, a 24 szérokości; jeżeli nie jest niczém inném tylko zwyczajnémi potrzebami naładowany, natenczas bierze wody 4 stopy, a na każde 80 cetnarów ciężaru cal jeden przybiéra; maszyna tego statku działa siłą 50 koni. Przestrzeń 100 mil niem. tam i na powrót, przebywa on w dniach 13; w żegludze pod wodę potrzebuje zwykle 110 do 120 godzin; a z wodą, jeżeli nié ma mocnego przeciwnego wiatru, dni cztéry. Wnętrze okrętu najwygodniéj urządzone jest dla podróżnych. Kapitan p. Premuda, doświadczony żeglarz, ubiega się oto, aby pobyt podróżnym na *Argo*, ile można uprzyjemnić. Statek ten odznacza się tą osobliwą nieocenioną zaletą, że posiada wyborną kuchnię, któréjby nie powstydził się najpiérwszy restaurator jakiéj stolicy. Zaleta ta, na tém większą zasługuje pochwałę, ile że kucharz okrętowy musi składać dowody swojego talentu w takim kraju i wśród takich okoliczności, które jego sztuce najmniéj dostarczają środków. *Argo* trzyma się po środku wołoskiego kordonu zdrowia; wprawdzie zbliża się czasami, jeżeli tego prąd wymaga, ku bardziéj zajmującym serbskim i bułgarskim wybrzeżom, lecz wylądowuje tylko na lewéj stronie. Z końcem lipca b. r statek *Panonia* przywrócił bezpośredni związek z prawym, czyli tureckim brzegiem Dunaju, zwłaszcza, że już takowy utrzymywał w środku czerwca b. r. i w drodze swojéj przybijać będzie do Widdinu, Nikopoli, Sistowy, Ruszczuka, Sylistryi i Hirsowy; w Gałaczu nabiéra podróżnych, przybyłych na *Ferdynandzie I.* z Konstantynopola, i takowych bezwłocznie dostawia do kwarantany w Szupankach pod Orsową. Kapitan Giovanni Clician, przyjemny młodzieniec, znający nie tylko swoją służbę, ale nadto języki i obyczaje Wschodu, dowodzi *Panonią*. Poźniéj także i na niższym Dunaju statek parowy będzie tam i na powrót chodził co tydzień.

Wkrótce po naszym odjeździe z Skelakladowy przybyliśmy do wieży Seweryna, gdzie teraz założono wołoską kwarantanę, a potém do sławnych zwalisk mostu Trajana. Po obu brzegach stoją jeszcze szczątki mostowego zamku i dwa wielkie słupy. Nawet w łożu rzéki, kiedy woda opadnie, widać wyraźnie 11 pilastrów. Most ten zbudować kazał Trajan Apollodorowi Damasceńskiemu, po zwycięztwie, otrzymaném nad Decebalem, królem dackim. Adryjan zburzył go, chcąc przeszkodzić przejściu Getów. Miasto Widdin, w części obwarowane, leży już w Bulgaryi, i okazały przedstawia widok 25 swémi minaretami. Byłto właśnie piątek, dzień świąteczny u Turków, przystojnie ubrani Turcy siedzieli długiemi rzędy przed kawiarniami nad brzegiem, ciągnąc spokojnie dym z swoich cybuchów, czyli nargilów; żony znaczniéjszych Mohametanów w obszérnych jasnobarwistych płaszczach, z twarzą po oczy zakrytą białą zasłoną, przechodząc zatrzymywały się na widok statku parowego; lecz skoro postrzegły, że się im przez dalowidy przypatrujemy, odwróciły się lękliwie i odeszły. Wszystko tu nowością uderza podróżnika i zwraca jego uwagę na różnicę oryjentalnego życia; nawet i przyroda nosi tu obcą zupełnie barwę, i w ogromniéjszych objawia się rozmiarach. Cyprysy i terpentynowe drzewa na brzegu tureckim ostrzegają o bliskości strefy południowéj; Dunaj miejscami zaczyna być tak széroki, że nieuzbrojoném okiem trudno dojrzéć przeciwnego brzegu; a olbrzymie ryby (wyzy) rzucają się niekiedy na powierzchnią wody. Wiele ostrowów dunajowych zarasta lasami olbrzymiéj trzciny, kędy nie tylko gnieżdżą się całe legiony wodnego ptactwa, ale dziki i wilki; stada pelikanów, długie łańcuchy żurawi i niezwykłéj wielkości orły krążą dokoła okrętu. Długi czas w połnocno-zachodniéj stronie oko dostrzega wiecznym śniegiem bielejące góry Siedmiogrodu i Banacko-wojskowéj granicy. Czternaście godzin drogi poniżéj Widdinu, przy ujściu strumienia, między dwoma stromémi górami malowniczo leży ludne miasto Nikopolis, a daléj ku wschodowi bulgarska wioska Bellina, siedlisko katolickiego biskupa. W Bellinie i w wielu sąsiednich włościach mieszka około 15,000 katolików, ubogich, lecz poczciwych ludzi, którzy na swojéj niepłodnéj ziemi żywią się robieniem prochu strzelniczego i rybołowstwem. Ich biskup, zacny starzec, mieszkał dawniéj w Bukareszcie, lecz po spaleniu się tamże jego mieszkania, udał się do swojéj gminy w Bellinie, dokąd wielu wołoskich katolików, nie chcących znosić nieustannych prześladowań greckiego obrządku bojarów, udało się zanim w chrześcijańskiéj pokorze. Nieszczęśliwe te gminy musiały z razu tajemnie pełnić obrządki swojéj religii; dla tego też kościół ich

znajduje się dotąd pod ziemią; szczególniéj janczarowie, za poduszczeniem greckich Bulgarów, najokrutniéj prześladowali ich ciągle. Lecz teraz lepiéj się im powodzi, zostają albowiem pod opieką Austryi, nie płacą haraczu i używają niektórych przywilejów. Są oni pochodzenia sławiańskiego, lecz Bulgarowie, z powodu religii, jaką wyznają, nie wiedzieć dla czego przezwali ich *Niemcami*. Dobrzy ci ludzie okazują przychylność do rządu austryjackiego; zawsze mają oni nadzieję dostania się pod panowanie austryjackie. Ilekroć statek parowy przechodzi, zbiegają się na brzég robotnicy ze wzgórzów saletrowych, pastérze, rybacy, niewiasty i dzieci, i witają go radosnémi okrzyki. Zbliżywszy się do owego miejsca, wywiesiliśmy wielką chorągiew i trzema wystrzałami z dział pozdrowiliśmy starego biskupa, który stał na brzegu i błogosławieństwo nam dawał. Prawowierni stali z odkrytémi głowy około swego patryjarchy, a patrząc na nas tęsknémi oczyma wykrzykali: »Przybywajcie do nas! Przybywajcie! Wszakżeście naszémi braćmi!«

Prawy brzég Dunaju obfity w piękne miasta i uśmiéchające się wioski; kraj jest pagórkowaty, zarosły drzewy i pilnie uprawiany przez roboczych Bulgarów. Sławny w historyi Sistów, swojémi ozdobnémi domy, wysmukłémi minarety z ciemnémi, cienistémi platanami i cyprysami, miłe bardzo sprawia wrażenie. Przeciwnie jakże odrażający przedstawia widok swojémi ziemniankami naprzeciw leżąca wołoska mieścina Swinica. Ruszczuk niezawodnie najznakomitszém jest miastem na niższym Dunaju, który tu na kształt jeziora się rozlewa. Miasto, położone na wzgórzu, jest wielkie, ludne, ożywionym zajęte handlem. Na pokładzie parowego statku zwykle przybywają znaczne zapasy towarów dla Ruszczuka; wysadziliśmy tam na ląd przeszło sto beczek towarów żelaznych, mianowicie kos. Tegoż samego wieczora przybyliśmy jeszcze na wołoskiéj stronie do Giurgewa, gdzieśmy wysadzili 8 wiedeńskich kolasek, za którémi szczególniéj przepadają Wołosi. Nazajutrz rano już o piątéj godzinie cały plac portowy napełniony był powozami; wszystek świat wyższy Giurgewa, tłoczył się na pokład, w celu oglądania statku *Argo*. Niektóre osoby umyślnie przyjechały z Bukarestu. Muszę uczynić tu uwagę, że we wszystkich nad Dunajem leżących wołoskich i moldawskich miastach odwiédzanie statku parowego najwięcéj jest *en vogue*. Osobliwie płeć piękna z zapałem chwyta się téj sposobności, aby w całéj swojéj pysze niewieściéj wystąpić mogła. Z utęsknieniem oczekuje ona przybycia statku parowego, który nawet po odpłynieniu długo jeszcze bywa przedmiotem ożywionéj rozmowy. Nie mało zajmującą jest rzeczą widzieć długim rzędem damy, siedzące na pokładzie, w strojach swoich w połowie oryjentalnych, w połowie podług ostatniéj wiedeńskiéj mody. Z niewypowiedzianém upodobaniem przypatrywaliśmy się sługom bojarskim; są to zwykle wysmukli krzepcy Arnauci (Albańczycy), w ozdobnym malowniczym narodowym stroju.

Najbliższy, a najważniéjszy punkt w podróży po Dunaju, jest Sylistryja; od czasu zajęcia przez Rossyjan, całkiem na nowo obwarowana. Dawniejsi tureccy mieszkańcy miasta i okolic jego opuścili te strony, a natomiast sprowadzono obcych z głębi Rossyi osadników. Twierdza wybornie jest zbudowaną; w obwodzie 4milowym powstały nowo-założone wioski, zamieszkałe przez rossyjskie wojskowe kolonije, które i uprawiają pola i pełnią służbę wojskową. Twierdza bardzo jest mocną; zaopatrzoną dostatecznie koszarami, magazynami, szpitalami i wszystkiém, co potrzeba; w porcie stoi flota wojenna. We wszystkich rajonach twierdzy stoją poczty kozackie; pograniczny zaś kraj na kilka godzin drogi jest pusty i od mieszkańców opuszczony. Nie daleko Sylistryi widać jeszcze szczątki niezmiernych murów, któremi chwiejące się cesarstwo greckie mniemało zabezpieczyć się od napadów północnych barbarzyńców. Dunaj zwraca tu nagle bieg swój ku północy; ziemia po prawym brzegu, zwana *Dobruczka*, jest jałową i wzgórzystą, bo gałęzie ramienisto niegościnnego Balkanu rozciągają się aż do koryta rzéki; w téj ponuréj przyrodzie osiedli włóczący się Cyganie. Włości pobrzeżne są spustoszałe i ogołocone z ludzi; dotąd widać tam jeszcze okropne klęski ostatniéj wojny. Teraz rzéka dzieli się na wiele ramion, i toczy swoje nurty pośród mnóstwa ostrowów, które swoją jednostajnością uczyniłyby podróż nudną, gdyby tysiączne chóry słowików, brzmiących po tych ostrowach, nie pieściły uszu podróżnika. Ożywiony ruch żeglugi otwiéra się na raz w wołoskim wolnym porcie Braiłowie (po turecku Ibrahil). Widocznie postrzegać się tu daje bliskość morza; ujrzysz tu nie tylko ociężałe, z zakrzywionym w pół księżyca dziobem okręty tureckie, które żeglują po Dunaju do Ruszczuku i Widdinu, ale i angielskie, genueńskie, austryjackie i greckie flagi powiewające na ozdobnych szybkolotnych brygach. Port w Braiłowie licznie jest nawiedzany; wołoska pszenica nadzwyczajnie bywa poszukiwaną; jakieżby nie płynęły korzyści, gdyby daleko lepsza i tańsza banacka pszenica mogła tu być dostawianą: *Argo*, nie bawiąc długo w Braiłowie, pospieszył do Gałaczu, moldawskiego portu na Dunaju odległego o milę, jako do celu swojéj podróży. Nasz statek musiał użyć całéj siły swojéj maszyny, albowiem gwałtowny wiatr morski dął ostro i wprost na bugszprit i tamował cały prąd rzéki. Mniéjsze

okreciki lotem strzały pędziły z wiatrem, mijając nas, większe zaś nawy stanęły na kotwicach.
(Dokończenie nastąpi.)

— Ze Lwowa. —

Wiadomości literackie. *Krótka wiadomość o kąpielach słonych w Wieliczce*, w 8ce str. 8, napisana przez dra. Boczkowskiego; osobno w języku polskim, a osobno w niemieckim, z wyliczeniem mnóstwa słabości, na które te wody są skutecznem lekarstwem i na które już pomogły, gdy inne okazały się nieskutecznemi, jako to: na skrofuły; artrisis; rheumatyzmy; zatwardzenia wątroby, śledziony, gruczołów, macicy; dolegliwości hemoroidalne; osypki i liszaje; na osłabienie nerwów, wielką chorobę i inne. Tym bardziej zalecenia godne, że nam je dała dobroczynna natura w kraju. *Pieśni ludu Biało-Chrobatów, Mazurów i Rusi z nad Bugu, z dołączeniem odpowiednych pieśni ruskich, serbskich, czeskich i sławiańskich. Zebrane przez K. W. Wojcickiego. Ozdobione rycinami i muzyką. Wydania J. Kaczanowskiego.* Warszawa. Tomu I. zeszyt 1szy od str. 1—60 na pięknym papierze i pięknie odbity; z jedną ryciną przedstawiającą dudziarza wielkopolskiego i z trzema tablicami nót gędziebnych.— *Podróże do Georgii w czasie mojej niewoli w Rossyi, odbyte 1813, 1814 i 1815; przez Stanisł. Nowackiego, podoficera legii nadwiślańskiej, byłego wojska polskiego za Księztwa Warszawskiego*, w Poznaniu, 1833; nakładem wydawcy. (Dosyć ciekawe, n m dokładniejsze mieć będziemy opisy; szkoda tylko, że się to dziełko nie dostało do poprawki bieglejszemu pisarzowi.) *A.*

Z Pragi. Odbite tu zostały dwa medale koronacyjne. Pierwszy ma na stronie głównej: Osobę męzką, stojącą, przybraną w ornacie koronacyjnym z koroną na głowie, w prawej trzymającą berło, a w lewej jabłko; po prawej stronie téj osoby stoi stolik trochę w tyle z nakryciem z frandzlami, a na nim poduszka z kutasami, na której trzy korony i dwa berła spoczywają, po lewej zaś stronie stojącej osoby umieszczona u nóg tarcza ze lwem dwuogonnym, za którą bluszcz, a w dali gmach królewski w Pradze z kościołem S. Wita. Napis w koło: *Ferdinandus I. D. G. Imperator Austriae, coronatus in Regem Bohemiae.* Na dole zaś: *J. D. Lerch. f. Pragae.* Drugi medal ma na stronie głównej: Osobę niewieścią, stojącą w środku przybraną w koronacyjny ornat w koronie na głowie z prawą ręką przytuloną do serca, a z lewą ręką wyciągniętą opiekuńczo nad tarczą, uboczne ozdoby też same, co w poprzedniczym medalu. Napis w koło: *Maria Anna D. G. Imperatrix Austriae, coronata in Reginam Bohemiae.* Na dole zaś: *J. D. Lerch f. Pragae.* Strona odwrotna obudwóch medalów jednakowa; w środku tarcza obłęczna z jednym zwierzchu, a z dwoma zboków kabłąkowatemi wykrojami, zakończona ostro, na niej lew w koronie, dwuogonny, nad tarczą korona; napis w koło: *Pragae, mense septemb. Anno Domini MDCCCXXXVI.* (Można piękność rylca pa. Lercha w tych medalach pochwalić, jakoteż i w następnym odbitym roku zeszłego. Strona główna: Popiersie męzkie, głowa opasana wieńcem wawrzynowym; drugie popiersie niewieście umieszczone za pierwszém. Napis w koło: *Ferdinandus I. et Maria Anna Imp. Austriae;* pod spodem: *Jos. de Lerchenau fecit Pragae.* Strona odwrotna; napis w środku: *Adventus Augustissimorum in Bohemiam. IV. mensis Octobris MDCCCXXXV.* P. Lerch dokonanemi medalami zasłużył, aby go umieścić w liczbie najdoskonalszych medalionistów). *A.*

Z Łomży. Dnia 5. b. m. rozstał się z tym światem Felix Bernatowicz, autor *Pojaty* i innych ulubionych romansów. Zgon tego wsławionego w literaturze męża nastąpił w domu brata, Ignacego Bernatowicza, sędziego prezydującego w sądzie poprawczym łomżyńskim, który sprowadziwszy go przed kilku miesiącami z instytutu Lejbach za Wrocławiem położonego (gdzie przez rok cały, za radą przychylnych przyjaciół na kuracyi zostawał) osładzał na łonie familii ostatnie chwile życia jego, gdyż wszelkie środki do wyleczenia tak dalece wyczerpane zostały, że nic więcej nowego wynaleźć nie można było do przywrócenia utraconego zdrowia. Pogrzeb odbył się z przyzwoitą okazałością, na którym wszystkie władze miejscowe znajdowały się. Młodzież, pracująca w magistraturach, dźwigała na ramionach swych zwłoki zmarłego od kościoła farnego aż na cmętarz, oddając tę ostatnią usługę, tak jak i liczna publiczność, całemu obrzędowi pogrzebnemu obecna, cześć sławie pracy zmarłego Felixa Bernatowicza przynależną oddawała. Słusznie tu można w téj smutnéj nader okoliczności (nim ktoś inny lepiej i bliżej życie całe zmarłego znający, coś stanowczego wyrzecze) tymczasem dewizę Felixa Bernatowicza na dziele jego własném *Nałęcz* położoną, równie teraz na grobowcu jego wykuć:

Nikną wieki, męże sławne,
Grób się po grobie otwiera,
Nowe imię gasi dawne,
I chwała chwałę zaciera. **P. W.**

Z Petersburga. Pan T. Bułharyn zapowiedział wydanie swego dzieła, pod tytułem: *Rossyja pod względem historycznym, statystycznym, jeograficznym i literackim; w 8 częściach, z wyobrażeniem bóstw sławiańskich, tabel paleograficznych, z mappą dawnéj Rossyi i innemi;* które jest już pod prasą. Najdalej w jesieni tego roku wyjdą pierwsze cztéry tomy. O tymże samym czasie wyjdzie to dzieło w tłumaczeniu niemieckiem w Rydze u Franzena.

Liczba uczniów w szkołach wyższych w Rossyi. Liczba uczących się na uniwersytecie w Petersburgu w r. 1834 wynosiła 230 osób; na moskiewskim 456; dorpackim 524; charkowskim 389; kazańskim 238; włodzimiérowskim (w Kijowie) 62; na głównym pedagogicznym instytucie 144. W liceach zaś: w Demidowskiem 80, księcia Bezborodki 236, Ryszeliańskiem 289. Ogółem uczących się było 2648.

Księżniczka francuzka Maryja ukończyła posąg Joanny d'Arc, który jednogłośnie uznanym został za arcydzieło rzeźby. Koń wzorowej jest doskonałości; dziewica robioną jest podług natury; a pomysł całego utworu głęboki i zajmujący. Joanna jedném cięciem swojego miecza odcina Anglikowi głowę; w pięknem, spokojnem licu, obok wojowniczego wyrazu przedziwnie maluje się podziw pasterski nad dokonaném zwycięztwem. W całej grupie przebija się zarazem śmiałość bohatérska i prostota; rumak ognisty, lecz poskromiony dzielną ręką, dziewica bohatérka, lecz całą zachowująca kobiécość; słowem, wszystkie części téj sceny są tak zgłębione i oddane, że nie można odmówić hołdu znamienitéj artystce. Znawcy dobijają się o wolność odwiedzania tego posągu, który wystawiony jest w Tuileryjach.

Czytamy w Gazecie Powszechnéj ogłoszenie o olbrzymiej kapuście *(chou colossal, colossal cabbage, Immergrun)*, o której donosiliśmy już w Nrze 32. Rozmaitości naszych, że nasienia téj niewypowiedzianie w gospodarstwie użytecznéj rośliny dostać można (ziarko po 1 frank.) w Paryżu u pana Obry, *Rue Richelieu N. 8.*

Dowiadujemy się niektórych szczegółów o prywatném życiu zmarłego barona Rotschilda. Otrzymywał on częstokroć pachnące, słodkie bileciki z miłemi zaproszeniami, na wieczory, zabawy, od najmodniejszych piękności, które tym sposobem ciepłego kapitalistę do siebie zwabić usiłowały. Lecz nigdy na takie miłe wezwanie nie następowała odpowiedź, nieczuły dusigrosz zawodził tyle słodkich nadziei. Rotschild rzadko kiedy miewał

pieniądze przy sobie; częstokroć prosił swego szwagra, aby mu kupił parę rękawiczek; a nieraz pożyczał, aby sobie nająć miejsce w omnibusie. W okolicznościach wielkiéj wagi bywał on bardzo spaniały, i ważne usługi hojnie nagradzał, i tak pewien z jego komisantów otrzymał 5,000 f. szt: za wiadomość udzieloną mu wcześnie w chwili stanowczéj.

Angielski kapitan od marynarki Arnold, mieszkający w odosobnionym dworku w bliskości Aberdare, zbudzony został w nocy przez jakowyś hałas; po chwyli postrzegł on, że jakiś człowiek usiłował ze dworu wysadzić okno do jego pokoju. Arnold nié miał przy sobie broni i był w nie małym kłopocie. Na szczęście przyszło mu na myśl, że w bocznym pokoju stało kilka butelek z szampanem; wziąwszy jedną odrzucił drót i żywicę, a przytrzymując korek wielkim palcem, podsunął się pod okno. Nie długo wyjęto szyby i w otwartém oknie pokazała się głowa złodzieja, łezącego do pokoju. W téj chwili puścił Arnold korek, który z hucznym wystrzałem i z potokiem szampana uderzył w twarz nieproszonego gościa. Złodziéj uderzony korkiem i oblany winem, na które myślał, że krew, upadł na ziemię, wzywając pomocy. Kapitan przekonawszy się, że złodziéj nié miał spólników, sam związał mu chustką ręce, zbudził służących, i kazał go oddać zwierzchności najbliższéj wioski.

Tani sposób prania bielizny. Podług zwyczajów w społeczeństwie przyjętych, czystość jest jednym z głównych przymiotów człowieka, warunkiem do utrzymania zdrowia, jest ona niejako potrzebą natury. Główną przeszkodą do upowszechnienia czystości w niższych klasach towarzystwa, była dotąd drogość materyjałów, używanych do prania bielizny przez uboższą klasę ludzi, która zaledwie nie większą część ludności miast stanowi. Wiek nasz obfity w wynalazki i temu chciał zapobiedz, jakoż świeżo czynione doświadczenia dowiodły, iż w miejsce potażu, sody i mydła używać można kartofli. Doświadczenia te robiono w pralni pani Fouque na wyspie S. Ludwika w Paryżu, w obec 40 znakomitych osób, pod prezydencyją p. Hericart de Thury. Najbrudniejsza bielizna, jak np: powijaki i pieluchy dzieci żebrackich, we 2 godziny do takiego stopnia wyprane zostały, jakiego dotychczasowy sposób prania mydłem nadać nie jest w stanie. Kartofle gotują się zwyczajnie w gorącéj wodzie, trą się, i już są zdatne do prania i jak najlepiej zastępują mydło. Sposób ten prawdziwym staje się dobrodziejstwem dla ubóstwa i spodziewać się należy, iż wkrótce upowszechnionym zostanie. Pranie takie tę jeszcze ma zaletę, iż daleko prędzéj się odbywa, i że każda do niego woda się przydaje, bądź studzienna, bądź rzeczna. Życzemy przeto, ażeby szczególniéj na wsiach powszechnie przyjętém być mogło.

Sposób wygubienia pluskiew. Nanieść w wielkiéj ilości świeżego siana do pokojów, i poobwijać niém sprzęty, a można być pewnym, że wszystkie pluskwy wyginą. Tymto sposobem pan Beraud oczyścił z pluskiew swój zamek w Chaumont.

Cyganki w Rossyi. Powszechném jest zdaniem, że Cyganie sąto włóczący się barbarzyńcy, niesposobni do cywilizacyi, i niezdolni do używania błogosławieństw spokojnego domowego życia; jednakże w Moskwie wiele rodzin cygańskich zamieszkuje wielkie i piękne palace, jeździ w spaniałych powozach i odznacza się osobistemi przymiotami i ukształceniem umysłu. Od niepamiętnych czasów Cyganki w Rossyi tak wywyższyły się w śpiewie, że nawet w tym kraju, gdzie doskonałość muzyki wokalnéj do tak wysokiego doprowadzono stopnia, chóry lepszych śpiewaków cygańskich pierwszeństwo przed rossyjskiemi mają. Głośne to jest w całéj Rossyi zdarzenie, jak sławna Katalani nagrodziła głos pewnéj śpiewaczki Cyganki, która po téj mistrzyni wystąpiła na scenę przed najświetniéjszych słuchaczy w Moskwie; zachwycona Włoszka zrzuciła z siebie szal niezmiernéj drogości, darowany jéj niegdyś od papieża, uściskała Cygankę, okryła nim jéj ramiona, i rzekła, że szal ten był przeznaczony dla najlepszéj śpiewaczki w świecie, którą ona już być przestaje. Summy jakie Cyganki śpiewające zarabiają w Rossyi, stawią je w możności prowadzenia najzbytkowniéjszego życia, które niczém książęcéj nie ustępuje spaniałości. Wiele z nich poszło za obywateli rossyjskich; a któż znający Rossyję nie wié, że przyjemna, utalentowana rzadkich przymiotów, małżonka hrabiego Alexandra T* jest z urodzenia Cyganką, i że jak wprzódy była ozdobą chóru śpiéwaczek w Moskwie, tak dziś jest ozdobą kobiét w obywatelstwie.

Kuglarze indyjscy. Pewien podróżny także nam daje o nich wyobrażenie: »Po zwykłych powitaniach kuglarze ci zaczynają od sztuk powszechnie prawie już znanych, lecz je stopniują do zadziwiających: jeden z nich np: wziął wielkie gliniane naczynie, napełnił je wodą, przewrócił, i woda wylała się na ziemię; lecz zaledwie napowrót podniósł to naczynie dnem do góry, już się znowu napełniło. Wylawszy wodę pozwolił wszystkim oglądać naczynie. Poczém jednego z obecnych prosił, aby naczynie wodą napełnił, co gdy się stało, kuglarz przewrócił znowu naczynie, i ani kropla nie pociekła, a jednakże naczynie, gdy je podniósł do góry, próżnem nie było. Po kilkakrotnem ponowieniu téj zadziwiającéj sztuki, Indyjanin, aby nas przekonać, że naczynie to niczém się od zwyczajnego nie różni, rozbił je, i kawałki pomiędzy widzów podzielił. Po téj nastąpiła jeszcze dziwniejsza sztuka: Chudą, wygłodniałą sukę, nakrył koszem, który, gdy po chwili podniesiono, znalazło się pod nim około suki siedmioro szczeniąt nowo-narodzonych. To wszystko kuglarz przykrył znowu koszem; a po odkryciu pokazała się w miejscu suki z szczeniętami, koza; następnie razem z kozą wieprz, potém ten sam wieprz, lecz ze łbem uciętym i t. d. To nas szczególniéj uderzało, że kuglarz sam jeden był na scenie; dziwno więc zkąd się te zwierzęta zjawiły. Inny kuglarz wziął mały woreczek, mieszczący w sobie 35 kul mosiężnych, które jedne po drugiéj wyrzucał w powietrze, tak że żadna nie spadła na ziemię; co uczyniwszy mruknął jakieś wyrazy, a jedna kula po drugiéj widocznie powróciła w worek z powietrza. Daléj wystąpiła kobiéta z trzciną bambusową, 20 stóp długą, którą postawiwszy wolno, bez wszelkiego oparcia, na płycie kamiennéj, wylazła z zadziwiającą szybkością, bez wszelkiéj pomocy, na kończaty szczyt onéj; gdzie stanąwszy jedną nogą, utrzymała się w równowadze. Opasana była pasem, w środku którego znajdował się wydrążony kawałek żelaza. Zmieniwszy nagle pierwszą swoją postawę rzuciła się w powietrzu wzdłuż ziemi, czyli horyzontalnie, a to w ten sposób, że koniec bambusu wpadł w wydrążenie żelaza, poczém z taką szparkością zaczęła się w okręg obracać, aż się ciało jéj jedną wielką kulą być zdawało; a bambus myślałbyś, że utrzymywany był jaką niewidzialną siłą. W końcu spuściła się piorunem po trzcinie na dół, szybnęła nią do góry i równoważąc ją to na brodzie, to na nosie, to na czole, rzuciła nią wreszcie bez pomocy rąk, daleko od siebie. Poczém wystąpił jakiś atletyczny mężczyzna, i stanął na głowie; podano mu 16 kul mosiężnych, wszystkie wyrzucał w powietrze, potém chwytał je w powietrzu koleją; drugi, cokolwiek mniejszy Indyjanin, stanął mu na stopach, i temu podano kul 16. W takiéj postawie obadwaj zaczęli ciskac ku sobie kulmi, co taki przedstawiało widok, jakby obydwa kuglarze zostawali w rzęsistym ognistym deszczu, który w powietrzu najpiękniejsze zkreślał figury.«

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.